

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 13 maja 1916 roku.

Nr 19—20.

ST. DZIKOWSKI.

## Na froncie wołyńskim.

### W nowym kraju.

W ostatnich dniach października opuściliśmy front besarabski. Długa, nużąca podróż przez Cz., St., L., Prz., Roz., Lub. i Kow. skończyła się na małej stacyjce Pow., gdzieśmy opuścili wreszcie wagony. Krótki, nocny marsz doprowadził nas do miasteczka H., gdzie niedawno inne pulki nasze wstąpiły się śmiała i uparta walka. Po kilkugodzinnym wypoczynku ruszyliśmy o świcie w dalszą drogę.

Po raz pierwszy szeregi nasze zanurzyły się w gęstwinę lasów wołyńskich, po raz pierwszy roztoczył przed nami jałowy i młki krajobraz Polesia. Po soczystych barwach Bukowiny wydał nam się dziwnie ubogim koloryt tego kraju, jakby wysanego ze wszelkiej bujności życia. Szliśmy albo przez piaski, albo przez moczary i bagna. Dokoła rosły kartowate sosny albo czarne olchy i białe brzozy. Rzadko wystąpił w górę równemi rzędy wysokopienny las, gdzie harde czuby drzew szumią niespokojnie w górze.

Czasami otwierały się przed nami długie, szerokie pustynie lotnego piasku, gdzie zamiera wszelkie życie i nawet ślad stóp ginie na mialkiej, ledwo widocznej drodze. Czasami grunt pod nogami stawał się zdradliwie lepkiem, oślizgłym, wreszcie ugiął się i zapadał, chwytając stopy w lejki bagniste. Trzeba było neraz kłaść przed sobą deski i kłosa drzewa, aby przejść na drugą stronę trzęsawiska, które rozpiekało się po środku drogi. Konie zapadały się co chwila w zdradzieckich kałwach i wspinając się przerażone, na próżno szukały kopytami trwalszego oparcia. Wszędzie dokoła nas są-

czyła się leniwie woda; patrzyła brudno-zielonemi ślepiami z pod wykrotów drzew i kęp zeschniętej trawy. Rzadko gdzie snuły się cienką smugą małe strumyki; rzeczki o niedostępnych brzegach. Cuchnęła wszędzie woda stojąca, pełną rozkładających się miazmatów i zaduchu bagna.

Patrzając na to, zrozumieliśmy nagle, że są w tym kraju miejsca, na których tylko... zwyciężać można. Kiedy nasze wozy trenowe posuwały się z trudem naprzód, zapadając się po osie raz w piasku, to znowu w lepkiem, zakisłem błocie, woźnicy spoglądali na siebie z ironicznym uśmiechem i powtarzali raz po raz:

— Róbże tu bracie „rückzug“...

Dopiero potem zobaczyliśmy, że i przez te napół niedostępne, jakby na wieczną ciszę i samotność skazane pustkowia można budować drogi trwałe i pewne, urągające zuchwale piaskom i bagnetom. Przejeżdżając potem tędy różnymi drogami, przypominałem sobie nieraz trafne spostrzeżenia Zdzisława Dębickiego, który przenikliwie odgadł, że kraj ten nie zmienił się wcale od czasów kampanii napoleońskiej. Przez sto lat zastygł w martwocie. Przez sto lat nowe życie okrążało go z daleka, a stare powoli zamierało. Zdaje się dziś, że stoi na rozdrożu pomiędzy zastygłym w pierwszej krasie i bujności dawnym światem a nadciągającym zwolna młodym zdobywcą. Jedno jest mu obce, drugie — dalekie. Nie padło tu jeszcze żadne ziarno, przyniesione z daleka podmuchem przyjaznego wiatru, nie wzrosło nic z własnego mytu.

Na całej wschodniej polaci toczącej się obecnie wojny najmniej to godziwy szmat ziemi! Daleko odbiegła od niego krasa pól urodzaj-

nych, rzek, płynących pomiędzy kwiecistymi dolinami, i jezior tajemniczycych. Ten kraj bezduszny, nędzny i lichy, zmiażdżony jeszcze stopą olbrzyma — wojny, nie jest nawet godzien porównania z północnymi obszarami sennej i smutnej Białorusi, gdzie zdaje się drzemać jakaś uśpiona, tajemnicza siła. Nic go nie wyróżnia. Wszystko, czem życie swoje przejawia, z wszelakiej go tylko godności obdziera. Ani go zdobią kraśne samodziły dziewcząt, ani uboga, prymitywna sztuka ludowa, ani nawet swoisty krzyż przy drodze, ani głuchota puszczy niedostępnej, gdzie mnoży się swobodnie zwierz dziki, ani chata od innych odrębna, ani ciekawy obyczaj. Mińszczyzna ma swoje puszcze i martechniki, ma olbrzymie przestrzenie wzorowo zagospodarowane. Kowieńskie jest jednym wielkim śpichrzem zboża. Inflanty mają lasy cudowne i dziwne, niezapomniane jeziora, nad których brzegami w noc świętojańską śpiewają jeszcze stare, pogańskie pieśni. O tej ziemi nic podobnego nie można powiedzieć.

Poczawszy od Buga na ostatnim przedmurzu Chełmszczyzny, gdzie chłop unicki w twarde manganu się o wiarę wywalczył sobie mimowiednie dostatek mądrego gospodarza — zaczyna się kraj przerażająco żałosny, słabo usiany nędznymi miastami i miasteczkami, gdzie przez długie lata panowali butnie czymownicy rosyjscy i żydzi. Toczył się tu beziemiennie lichy chłopski żywot, podobny do jednostajnej pluchy jesiennej, nie rozjaśnionej ani jedynym promieniem słońca — żywot niczem się nie różniący od żałosnej egzystencji pociągowego bydłęcia, trapionego świerzchem, nędzą i trudem. Po drugiej stronie Buga zdaje się wszystko zamierać: Na lichych piaskach ledwo brat brata urodzi, jak mówi chłopskie przysłowie — a na mokrych, rozległych łąkach nie co roku można zbierać sianokos. Daremnie nieraz chuda krowina włoczy się po trzęsawiskach i szuka miejsca,

gdzieby mogła sobie pysk skaleczyć o ostre ździebła bagnistej trawy. Często tu właściciel kilku tysięcy dziesięcin ziemi jest nędzarzem. Rola uprawna choćby najgorzej jest rzadkością. Człowiek usiłuje żyć pierwotnie, ale i tej pierwotności już niema. Zwierza dawno wytrzebili kłusownicy. Próznoby tu było chodzić wieczorem „na zasiadkę“, błądzić ze strzelbą po lasach albo brodzić po chybotającym się kożuchu błotnistej łąki. Czasami tylko porwie się błyskawicznym lotem chyży bekas albo załopocze skrzydłami; ocieżyła kryżówka. Nie mieszkają tu ani białe pardwy, ani tłuste dubelty, nie ukrywają się po uroczysskach dalekich głuszcze, ani nie przemyka się pomiędzy kępami brodata morda łosia. Na wiosnę słychać świst kuliga i jęk czajki, przecinającej powietrze szybkim lotem. Rzadko grają cietrzewie, czasami ciągną słonki, czasami przemknie się w drodze do in-

nych stron gromada płochych sarn albo stado dzików potwornych. Nie gnieździ się tu ani zając, ani kuro-patwa.

Gdzieś tam zobaczyć można na drzewach barcie ustawione wysoko. Ryb niema łowić gdzie. Bydło i siano jest całym dobytkiem ubo-giego mieszkańca.

Otworło się przed nami wnętrze tego kraju, jak wrota opustoszałej chałupy, gdzie szczerzy z przypiecka swoją paskudną gębę — Zła Dola.

I kiedy brniemy przez piaski, zapadamy się w bagnach grzązkich, kiedy pedzimy długie dnie we wsiach opustoszałych albo pomiędzy milczącymi, martwymi polami — myślimy nieraz o tem, że skoro mróz zentnie na dobre zdradzieckie topiele, wtedy po twardej skorupie śniegu ruszymy stąd może dalej, do innego, lepszego kraju...

*Dalszy ciąg nastąpi.*

Gustaw Daniłowski.

POWIEŚĆ.

## LILI.

4

Płynęły; czas pewien w wzruszającym milczeniu...

— Siadź przy mnie — odezwała się pierwsza Lili, a gdy poeta znalazł się przy niej, ujęła go miękko za rękę i poczęła mówić, jakby rozpamiętując:

— Stef — ja nie zapomniałem żadnej najdrobniejszej chwili szczęścia, którą przeżyłam przy tobie. Pamięć moja nie chwyta złego, zachowuje tylko to, co było dobre — i wszystko jeszcze powróci, o ile zechcesz, o ile się zgodzisz... o tem w listach pisałam — ale zginęły, więc ci to mówię, choć mi to trudno. — Wszystkiego wypowiedzieć nie zdolam, są bowiem przeżycia tak dyskretnie, że je człowiek sam sobie nie śmie wyznawać. Nie trzeba być samolubnym — widziałeś Brunona; jego to boli, a jednak się zgodził. Czyż chciałbyś, bym się stała więcej nie-szczęśliwą, niż chwilami jestem, z powodu, iż nie umiem tak was szczerze bez krzywdy sobą obdzielić, jakbym pragnęła?

Czyż chciałbyś patrzeć na pożerający mnie żal i tęsknotę? Kocham cię Stef, dziś więcej, niż Brunona, ale jutro, za miesiąc, za dwa...

Nie martw się, nie trzeba się tak niemilo marszczyć. — Pomyśl sobie, żem wyjechała odpocząć, użyć wesela i słońca, by wreszcie znużona tem wszystkim w zmięczeniu twych skrzydeł się wtulić, potroskać się o ciebie, a gdy zanadto zajdzie cieniem melancholij dusza — odfrunąć... Och, gdybym mogła się rozdzielić — uczyniłabym to chętnie. Gdyby można było żyć razem i dobrze we troje...

Gdyby to się stało dla was możliwe, bo ja marzę o tem, jak o niebie, ale to dzieje się tylko chyba w niebie — westchnęła i zamilkła.

Wpłynęły; w wązkiej i ciemnej kanale i sunęły w martwej ciszy, przerywanej na skrętach głuchym okrzykiem gondoliera: hou!

— Mów co Stef — chciałabym słyszeć twój głos — wymówiła sennie.

— Lili — zaczął — och, Lili! — powtórzył — dwa te słowa tylko w odpowiedzi mógłbym ci tylko na ten twój krótki list, który mnie zwałił z nóg.

— Och Lili — upadł jej głowa na kolana i począł łkać.

— Niechmo — kapryśny dzieciak — poczęła go głaskać po włosach — no, proszę ustać, bo jeszcze kto zobaczy — dźwignęła mu głowę i pocałowała w pełne łez oczy.

Wkrótce zamigotały hotelowe latarnie. Świda zdjął z haczyków klucze. Lili, odebrawszy swój, podała mu rękę na dobranoc i znikła w numerze.

Znalazł się sam, poeta dopiero poczuł, jak jest wstrząśnięty do głębi tem spotkaniem i jej słowami. Nie mógł zasnąć i począł chodzić po pokoju tam i powrotem, jak błędny. Przelewały się w nim fale różnorodnych uczuć: tkliwych, słodkich, bolesnych. Z rozżalonej do dna duszy — podnosiły się stare smutki, wynurzały się dawne kwiaty szczęścia, niektóre dziwnie świeże, inne spłowiałe, inne znów na nic zwiędłe i zczerniałe.

Z serca, jak z otwartego kiel-

cha — buchały do głowy jakieś odurzające mgły, dymy, to wonne, to zgryźliwe, czemś gorzkim zatrute.

Jakieś niezwykle rozdrażnienie nie pozwalało mu spleść ani jednej jasnej myśli. Nie był w stanie zdać sobie sprawy z tego, co go spotkało — szczęście, czy niedola? Czuli jednak, że ona jest blisko, i że z tego powodu ogarnia go trwoga i niepokój.

— Czy można — naraz skrzyknęły drzwi — i ukazała się, jak dawniej, uśmiechnięta i nieco zażenowana, różowa twarzyczka. — Czy nie przeszkadzam — wychyliła się z framugi do pół stanu. — Co mój pan chodzi, jakby nowy utwór obmyślał i wsunęła się w miękki niebieskim szlafrocisku, a gdy wyciągnął ku niej nieprzytomny ze szczęścia rękę, wysunęła mu się z objęć, objęła za szyję, i z małych wilgotnych ust spłynął mu przez piersi aż do ściępych stóp potok niewysłowionej słodyczy.

— To na zgodę — ujęła go za rękę — proszę być grzecznym, siadaj przy mnie na kanapce i uważnie słuchaj.

— Kocham was obu — może mego chłopca, inaczej, niż Brunona, który wydaje mi się czasem, jak starszy brat lub ojciec.

Stęskniłam się bardzo do ciebie, ale uroczyście obiecałam Brunonowi, że odbędę kurację, i muszę słowa dotrzymać. Potrwa to niedługo.

Powiedziałam mu, że muszę z tobą rozmówić się serdecznie. On wie, że do ciebie przyjadę, i milcząco się zgadza. Muszę się z tobą rozmówić serdecznie, — głos jej zdrżał — odsunęła jego garnącą się do jej piersi głowę — daj spokój, rozdeły się jej lekko nozdrza — nie jestem z lodu ni z wody — a nie chciałabym — dziś głowa i ręce do ciebie należa — dodała i odsunęła się zdenerwowana widocznie. Świda począł ją gwałtownie całować po rękach i oczach.

Pozwalała; zerwała się raptem i drżącymi z cienienia ustami; wymówiła żałośnie:

— Nie, z wami niepodobna się nigdy rozgadać od serca i do końca. Proszę cię o jedno, zrób to dla mnie: wyjedź, nim on wróci. Wam i mnie niezwykle ciężko teraz być razem. Jedź choćby jutro; chciałabym, by cię nie zastał.

— Gniewasz się — ochłonął Świda.

— Nie, nie! śpij kotuś spokojnie, a jutro wracaj do siebie i pisz ślicznie, jak umiesz. Przyjadę poprzekreślać ci wszystkie Ł, kropki nad i popostawiać, dopełnić brakujących liter, niewyraźne na czysto przepisać, być korektorka i zarazem pierwszą szczęśliwą czytelniczką — pocałowała go w czoło i wyszła.

Nazajutrz zbudził Świdę kelner z tacą, na której stała herbata, nasmarowane masłem bułeczki, sól i o-

brane rzodkiewki, które tak lubił — naszykowane przez Lili śniadanie.

Gdy wstąpił do niej, była do wyjścia ubrana. Pocałowała go na dzień dobry i rzekła:

— A teraz pójdziemy po sprawkę. — Musisz Stef kupić kapelusz, bo twój to strach na wróble; jasny, do gustu garnitur. — Wzięła go pod rękę i targując się zawzięcie, po trzech godzinach skompletowała wszystko. Gdy po obiedzie przebrał się — Lili zawiązała mu fantazyjnie krawat, poprawiła trochę na bakier kapelusz i przypatrując mu się z upodobaniem, rzekła:

— Proszę spojrzeć w lustro, czy nie szyk mam chłopaka. Podała mu rękę, na Placu Marka kupiła mu goździk i wpięła w kłapę.

Stef musnął kwiat ustami i spojrzał na nią rozmarzonymi ale pełnymi szczęścia oczyma. Odpowiedziała uroczym uśmiechem, jednym z najpiękniejszych swych zalotnych spojrzeń, i rzekła:

— Wiesz, Stef, toż my dziś tak, jakby powtórnie narzeczeni; ja przynajmniej doświadczam tych samych subtelnych wzruszeń, są one może tylko trochę śmielsze i bardziej świadome, — i zarumieniła się, nieco zawstydzona zbyt otwartym wynurzeniem.

— Lili — przytrzymał dłonią jej rękę.

— Chodź, pójdziemy na laguny martwe. Na to cmentarzysko proszę zabrać wszystkie swe smutki, by je utopić, a potem mój chłopiec pozbawiony trosk dziś jeszcze wieczór wyjedzie — dobrze?

— Dobrze.

— A dokąd?

— Do siebie, wynajmę odpowiednie mieszkanie — może się uda odzyskać dawne gniazdo — meble wszystkie zostały, nie sprzedałem nic — przenieśliśmy się nie przez oszczędność, ale chciałem uciec od zawartych w tych pokoiłkach wspomnień, oddalić się od siebie, od ludzi...

— Czy chciałeś mnie zapomnieć?

— Chciałem Lili — ale nie mogłem.

— A ja od razu wiedziałam, że to się nie da, więc nie próbowałam. — Widzisz, lepsza byłam — ciągnęła, zakupując jednocześnie całą naręcz kwiatów. No, teraz jedźmy grzebać smutki — dodała.

A gdy znaleźli się na cichej niebieskiej fali — poczęła sypać kwiaty na wodę i mówić:

— Tońcie na wieki wraz ze smutkiem naszego kochania — niech smutki mego Stefa usną na kwiatkach, a jeśli się ockną, niech zmartwychwstaną w wieńcach poezji. — Rzuciła ostatni.

A on rzekł wzruszony:

— A gdzież dla mnie kwiat.

— Niema już — rozłożyła bezradnie ręce.

— Masz najcudniejszy, purpuro-

wy, słodki, świeży, ożywczej rosy pełen — objął i pocałował w rozchyłone usta.

Lili drżała w jego objęciach, wreszcie wynwała się gwałtownie i kazała zawrócić ku miastu.

Patrząc na jej zwieszoną smutnie głowę, na zasłonięte do pół oczu zwichrzoną grzywką czoło, Stefan poczuł się trochę źle i nieswojo.

— O czym myślisz? — zdobył się wreszcie na zapytanie. — Ty płaczesz — dodał, spostrzegłszy łzy.

— Tak, trochę — nie wiem sama... ale to zaraz przejdzie... głupia jestem — westchnęła, odgarnęła włosy i wymówiła z cichym uśmiechem: — Mam taki jeden mój jedyny smutek, który się we mnie czasem odzywa, a nieraz bardzo dotkliwie.

Świda milczał w jakimś mętnym poczuciu winy, które rozwiłało się, jak mgła, na widok wyrastającego z morza w lunach zachodu miasta.

Palily się jasnym ogniem szczyty i wieże kościołów, żarzyły się blachy dachów, różową poświatą świeciły marmury, ogniste błyski migotały po falach.

Ogarnięci jednym wzruszeniem zachwyty wpłynęli w wielki kanał i nagle skreślił w wazkie jego rozgałęzienie, gdzie wszystko jak zdmuchnięte raptem zagasło.

— Szkoda — szepnęli prawie równocześnie, jak zbudzeni.

— Cudny jednak jest świat — rzekł, wchodząc na schody Świda.

— Póki słońce świeci — dodała Lili.

— Co mówisz, Lili? — a noce, czyż nie są pełne uroku — choćby — pamiętasz — nasze noce...

— Zamówisz kolację — prze-

nwała Lili, wbiegła na górę, szybko spakowała jego rzeczy, za co jej podziękował kwaśno, miał bowiem szczyry zamiar spóźnić się na pociąg.

Nie było jednak rady i pożegnawszy ją z powodu obecności służby długim uściskiem ręki, wstąpił chmurny w gondole — a mijając się z innymi, miał wrażenie, że spotyka trumny swojego szczęścia.

## II.

Świda nie bez trudności odzyskał swe dawne mieszkanie i ledwie je zdołał uporządkować jako-tak, otrzymał od Lili telegram: — Jutro o trzeciej przyjeżdżam. — Doba oczekiwania stała się jakby transem radości, niepokoju, wyobrażeń wzniecających dreszcze, rozczuleń, doprowadzających do łez.

O drugiej był na stacyi — godzina rozciągała mu się w lata, a gdy wpadł pociąg, doznał trwogi, i pędząc wzdłuż wagonów, docierając do ostatnich, poczuł się blizki rozpacz.

— Stef! — postyszał za sobą głos.

Odwrócił się.

— Przegapiłeś mnie — uśmiechnęła się jasna twarzyczka.

Poeta porwał Lili ze stopni, objął i całując, powtarzał jakimś ikającym głosem:

— Lili! Lili!

— Chodźmy — dodał ochłoniwszy.

— Czekaj, rzeczy!

— A prawda! — Skinął na tragarza i wkrótce znaleźli się w drodze.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

# Walka Apuchtina z „Zachętą”.

2

Apuchtin wtrącał się nawet w wewnętrzne zarządzenia komitetu, zażądawszy wyjaśnień, dlaczego usunięty został jakiś urzędnik kancelaryjny, nazwawszy to „nieporządkiem”. Odpowiedziano, że komitet stosuje się ściśle do ustawy, której art. 17 daje mu wyraźne prawo do wszelkich nominacji w wewnętrznym organizmie T-wa, z wyjątkiem posady sekretarza, wyznaczanego przez prezesa T-wa, t. j. kuratora. Odpowiedziałą tą dotkniętą, chcąc dać poznać, jak niebezpieczną grę rozpoczął z nim komitet, przedstawił do ministerium oświaty wniosek o zmianę ustawy w tym sensie, aby prezes miał prawo mianowania i usuwania nietylko sekretarza, ale i skarbnika T-wa, a nadto zatwierdzania wybranych przez ogólne zebranie członków komitetu.

Już 14 grudnia 93-go roku za-

wiadomił Apuchtin komitet o swoim tryumfie, gdyż, stosownie do jego wniosku, minister zmienił dawny tekst dwóch artykułów ustawy.

Jasne było, że minister, chcąc dogodzić swemu mężowi zaufania, postąpił bezprawnie, zmieniając ustawę, która otrzymała sankcję cesarską. To też na odbytem w marcu 1894-go roku ogólnym zebraniu członek T-wa, adw. Artur Bardzki, znany miłośnik sztuki (który przed śmiercią w roku bieżącym zapisał T-wu swoje piękne zbiory) postawił obszernie motywowany wniosek za skarżenia samowładnej zmiany przez ministra 16 i 17 artykułów ustawy do senatu.

Wniosek został przyjęty jednoznacznie, nie bacząc na protest obecnego na zebraniu apuchtinowskiego reprezentanta, Popowa. Zredagowaniem skargi zajął się członek T-wa,

Stanisław Wydźga, a podpisali ją Ksawery hr. Braniński, Józef Weysenhoff, nowo obrany wiceprezes, i Lucyan Wrotnowski.

Apuchtin użył wówczas wszelkich swych wpływów w Petersburgu, sprawa więc rozstrzygnięta została nieprędko. Dość długo leżała w I-m departamencie Senatu i ostatecznie nie została rozstrzygnięta wskutek różnicy zdań senatorów w kwestyi, czy istotnie uważać należy ustawę T-wa za zatwierdzoną przez samego cesarza, protokół bowiem posiedzenia Rady Administracyjnej z dn. 30-go października 1860 roku opiewa, że „Najjaśniejszy pan w skutku przedstawienia Namiestnika... raczył Najwyżej zezwolić na utworzenie Towarzystwa i *pozostawia Radzie Administracyjnej zatwierdzenie* pomienionego projektu ustawy“. Jedni senatorowie twierdzili, że tekst świadczy, iż cesarz, zezwalając na utworzenie T-wa, tem samem sankcyonował jego ustawę. Zdaniem innych, wyrażenie „*pozostawia zatwierdzenie* Radzie Administracyjnej“ dowodzi, że ustawa, nie mając wyraźnej sankcyi cesarskiej, tem samem mogła być zmienioną przez ministra oświaty. Przekazano więc następnie skargę Ogólnemu zebraniu departamentów tegoż senatu. Ale i tu zdania były różne. Postanowiono tedy zwrócić się do konsultacji przy ministeryum sprawiedliwości. Po „wyleżeniu się“ tam, skarga przesłana została przez ministra dopiero w październiku 1901 roku z powrotem do Senatu. Ale i tym razem senatorowie nie godzili się na jedno. W rezultacie przekazana została dla ostatecznego rozstrzygnięcia Radzie Państwa na zebranie ogólne zjednoczonych departamentów: spraw cywilnych, duchownych i prawodawczych, ekonomii i przemysłu, nauk i handlu i dopiero 29 lipca 1903 roku zapadła tam uchwała o przywróceniu pierwotnego tekstu art. 16 i 17-go ustawy.

Jak już wspomniałem, czujna opieka Apuchtina nad Towarzystwem wzmagała się ustawicznie, szczególnie od roku 1893, gdy poczuł się, na mocy dokonanych zmian w ustawie, samowładnym kierownikiem instytucyi. „Zakazy“ sypały się bezustannie. Dla ich charakterystyki przytoczę następujące:

Na początku r. 94-go Apuchtin, protegując jakiegoś wrzekomego 14-letniego „artystę“, zażądał dla niego zapomogi od T-wa dla dalszego kształcenia się w malarstwie. Komitet, przejrząwszy prace, zaopiniował w odpowiedzi, że w myśl art. 1-go zadaniem T-wa jest pomoc i zachęta dla młodych „artystów“; w danym razie nie można za takiego uznać młodego chłopca, którego próby nie znamionują talentu, wykonać je bowiem może nawet dziecko, zaczynające naukę rysunku.

Gdy tegoż roku komitet chciał

przedstawić ogólnemu zebraniu projekt członka T-wa, p. Pieńkowskiego, popierania literatury ojczystej z zakresu sztuk pięknych, ogłaszania w tym celu konkursów i przeznaczania odpowiednich monografi; ilustrowanych na premia, urządzania specjalnych odczytów i ogłaszania ich drukiem, grupując je w pewną organiczną całość, Apuchtin przez usta swego zastępcy, Popowa, nie dopuścił projektu pod obrady, wychodząc z założenia, że projekt ma na celu naukowe kształcenie ogółu, co nie jest zadaniem Tow. artystycznego, lecz towarzystw naukowych i literackich.

W następnym 95 roku zażądał Apuchtin, aby cała korespondencya, wychodząca od komitetu, była mu przedstawiana do osobistego podpisu. Rozkaz miał na celu zatamowanie normalnego biegu wszystkich spraw instytucyi. Komitet upoważnił ówczesnego wiceprezesa, Stan. Wydźgę, aby wytłomaczył osobiście kuratorowi cały absurd tegoż żądania, argumentując swoją odpowiedź racją następującą: Wprawdzie w myśl art. 18-go ustawy do prezesa należy „ogólny nadzór nad biegiem interesów i załatwianiem czynności z nich wypływających“, jednak, na zasadzie art. 16-go, bezpośrednio kierownictwo niemi powierzone jest komitetowi, do czego musi on korzystać z prawa podpisywania wychodzących z kancelaryi papierów; z prawa takiego korzysta we wszystkich instytucjach wiceprezes, wybrany, jak i w T-wie „Zachęty“, przez komitet. Jest to koniecznem, gdyż nie sposób żądać, aby kurator, jako prezes, przychodził codziennie do kancelaryi instytucyi, lub aby mu odsyłało do podpisu wszystkie papiery, wymagające nieraz pośpiechu.

Skutek odpowiedzi był ten, że polecił on komitetowi przedstawiać sobie do podpisu 7 kategorii papierów: 1) wszelkie odezwy i odpowiedzi, wysyłane do władz rządowych, oraz do instytucyi, będących pod opieką rządu; 2) korespondencyę z Bankiem Handlowym i z towarzystwami kredytowem; w kwestyi znajdujących się tam depozytów T-wa; 3) korespondencyę z instytucjami społecznymi i z magistratem m. Warszawy w kwestyi budowy gmachu, przeznaczonego dla T-wa; 4) korespondencyę z Komitetem cenzury z zakresu wydawnictwa premiiów i sprawozdań T-wa; 5) zawiadomienia członków T-wa o wyborze ich do Komitetu i o zatwierdzeniu przez władzę rządową; 6) nominacye i zwalnianie z urzędu sekretarza T-wa, kustosa wystawy i kancelistów i 7) korespondencyę o zatwierdzeniu wyboru wiceprezesa.

Inne papiery p. kurator pozwolił taskawie podpisywać wiceprezesowi lub zastępującemu go członkowi Komitetu.

Po przejrzeniu tegoż roku sprawozdania z działalności T-wa za rok

ubiegły, Apuchtin doszedł do wniosku, że Komitet nie stoi na wysokości zadania, że sprawozdania bowiem nie widać, czy przyjmowane są na wystawę dzieła sztuki artystów „bez różnicy narodowości“ i czy utrzymuje stosunki z instytucjami artystycznymi w cesarstwie, gdyż: w roku sprawozdawczym nie było na wystawie ani jednego obrazu artystów rosyjskich, co byłoby pożądanem.

Ponieważ komitet niezbyt wziął do serca to monitum, przeto w roku następnym wystosował Apuchtin bardziej groźny nakaz, aby 1) listę artystów wystawiających swe prace w „Zachęcie“ prowadzić podług ich narodowości; 2) obowiązkowo nawiązywać stosunki z towarzystwami artystycznymi w cesarstwie i 3) nabywać społeczne dzieła rosyjskie, traktujące o sztukach pięknych.

Wreszcie ostatni reskrypt, datowany na parę tygodni przed opuszczeniem na stałe Warszawy, tyczył się nakazu „przedsięwzięcia stanowczych środków dla ustalenia ciągłych stosunków z artystami rosyjskimi“.

Do najmilszych chwil t. z. określa Apuchtinowskiego, w którym ów działacz roztoczył tak troskliwą opiekę nad naszą instytucją artystyczną, ówczesni członkowie komitetu T-wa zaliczali; posiedzenie z dn. 6 marca 1897 roku. Na posiedzeniu owem został odczytany reskrypt zarządzającego Okręgiem naukowym, zawiadamiający komitet, że „Najwyższym ukazem z dn. 29 stycznia (st. st.) tegoż roku Najmilościwiej polecono kuratorowi Warszawskiego Okręgu Naukowego, rz. radcy tajnemu Apuchtinowi, zasiadać w Senacie Rządzącym“...

\* \* \*

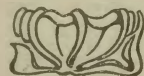
Na cześć Apuchtina wybito za granicą medal pamiątkowy z napisem w języku rosyjskim, dosadnie charakteryzującym według zasług tego działacza.

W tłómaczeniu na język polski tekst brzmi: „Wieczne przekleństwo imieniu jego, wieczna hańba jego nędznej działalności w Królestwie Polskiem, 1879—1897“.

W objaśnieniu francuskim, przy którym rozesłano medal do muzeów europejskich, podano krótką biografię Apuchtina z adnotacją, że pochodził on z rodziny omniańskiej i że w języku przodków jego słowo „apuchtin“ oznacza: „sprzedający kielbaski“.

Należy żałować, że nie wybrał on sobie w młodości zawodu, więcej odpowiadającego znaczeniu swego nazwiska.

L. P.



# O dobrem prosięciu i złych niewiastach

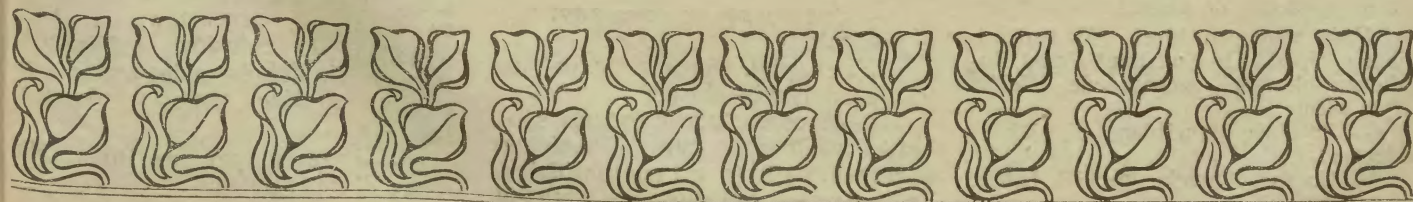
CZYLI

## NIWINNOŚĆ OFIARA CHCIWOŚCI.

Nie bajkę, lecz historję piszę.  
 W jednym, niebardzo podtem mieście,  
 Mieszkały dwie niewieście,  
 Niedocięte w języku, nieposkromione w pysze.  
 Gdy się spotkają, oko im błyska,  
 Pięść się zaciska,  
 Jakby im żaru sypnął kto w zanadrze.  
 Przednią też grę ma stary i młody,  
 Patrząc jako idą w zawody:  
 Która nos wyżej zadrze?  
 W teźże mieście, na tonie przyrody,  
 Chrzakającego rodu igrało dzieciątko.  
 Prosiatko,  
 Wdzięku i niewinności cne uosobienie,  
 Czy — uświnienie.  
 Przyroda wypieściła to arcydziełko,  
 Wydlubawszy je dłuikiem, wyklówszy igietką.  
 Żadna hrabianka nie jest w formach lepsza,  
 Niż był ten synek wieprza,  
 Zwinny, lekki, jak gazella,  
 Ze szczecią białą i gładką, jak pęla,  
 Z rykiem proszącym o całusek,  
 Pulchny, krągły, omastny, świecący, jak klusek,  
 Mający, zamiast ślepek, z rubinów butony  
 I ogonek z fantazyą wściekłą zakrecony.  
 Jedno zarzucić mu trzeba:  
 Tyle darów dostawszy od Zewusa czy Feba,  
 Żył, jak cynik,  
 Nie dbając nic o ludzi, o ten świat i o się  
 (Zwyczajnie: prosię).  
 Smutny był tego wynik.  
 Jednego dnia — był to Tłusty Wtorek —  
 Za uszy ostro pochwyci go dziewczka.  
 Z podwórza wtracon do chlewka,  
 Jako do kazamat,  
 Z chlewka — w worek,  
 Z worka — na sznur, ze sznurem — mimo kwików, skarg,  
 Na targ.  
 Tu się rozegrać miał dni jego dramat.  
 Tego dnia właśnie jejmość Zadarnoska,  
 Zbożnie świecąca wszelkie mięsopusty  
 I narodowe przy nich obyczaje,  
 Chcąc swemu sułtanowi obiad działać tłusty,  
 Szła między kupczacę zgraje,  
 Żadna świńskiego sadła, szmalcu i słoniny.  
 Przypadek zrządził, w zamysłach głęboki,  
 Że się w teź stronę skierowały kroki  
 Jejmości Zadarnościny.  
 Ta również żądza świńskich tłuszczów dyszy.  
 Ujrzały się, splotęły, zbladły i zmartwiały,

Jako dwie, wierzchołkami bodące się skały.  
 Wtem, z bólem w głosie,  
 Kwiknęło prosię...  
 Drgnęły — i w świńskie dziecko wbiły chciwe wzroki.  
 I była chwila ciszy,  
 Jak na morzu, okrętom gdy opadną żagle.  
 Nagle,  
 Jako dwa charty, razem puszczone ze smyczy,  
 Jak sępów dwójca, kiedy dopadnie zdobyczy,  
 Jak dwa groty, tąż samą wypchnięte cęciwą,  
 Jak dwójnożne nożyce, tnące Park przedziwo,  
 Jak dwóch jaskótek dzioby, goniące za łątką —  
 Dwie pary rąk drapieżnych spadły na prosiatko!  
 „Moje!“... „Moje!“... „Nie oddam!“... „I ja również nie  
 Ta prosię za kark dzierży, tamta za pośladek. Idam!“...  
 Szarpia, tarmosza,  
 Pięści wznoszą...  
 Ze strachu czmychnął niejeden świadek.  
 Posesor krzyczy: „Nie sprzedam!“  
 Przy dziecku świni  
 Zgiętek straszny się czyni,  
 Jak pośród zaporozców pijanych na Siczy —  
 A prosię kwiczy i kwiczy.  
 Miałby co słuchać detektyw,  
 Gdy walka zaostrzona doszła do inwektyw.  
 „Patrzcie ją, jaka pani jaśnie oświecona!“  
 „Większa z pewnością, niżli kancelisty żona!“  
 „Pani mąż bezetatny, a mój w urzędowce!“  
 „Ja chodzę w modnej halce, a pani w watówce!“  
 „Pani masz zięcia szewcem!“ — „Pani-ś szewca córka!“  
 „Romanse pani całe widziato podwórko!“  
 „Ja mam dziątek pięcioro, pani tylko dwoje!“  
 „Za to wszystkie są męża mego i moje!“  
 „Ubliżać mi chcesz?“ — „Mogę jeszcze lepiej!“  
 „A niechże cię oślepi!“  
 „A tobie niech wykręci twoją buzię mądra!“  
 „Milcz, flądro!“...  
 Gdy piorun padnie, burza się przesila —  
 Lecz, nim zabłyśnie ta chwila  
 Już grom uczynił straszne spustoszenie.  
 Gdy biedne, kwiczące stworzenie  
 Szarpia niewiasty obie,  
 Ta k'sobie, i ta k'sobie,  
 Zapasów tych prosiaczek nie wydzierzał mały:  
 Wiedzmy go — rozerwały!

Żle jest pożądanemu przez dwóch świńiakowi.  
 Gorzej — człowiekowi,



## Na marginesie dziejowym.

...Skoro tylko stało się powszechnie wiadomem, że pochód odbędzie się na pewno, w domu pp. Powszednickich zaczęto się krzątać.

Pani domu odruchowo wykrzyknęła:

— Zakupy!

Jakoż w parę godzin wracała z miną triumfującą.

— Ma się rozumieć, masło już skończyło!

Nazajutrz młodsza przyszła z targu z miną wielce strapioną.

— Co, Marcysiu, i mięso skoczyło?

— Mięso wcale nie skoczyło, proszę pani, bo go niema. Za to powiadają, że mają spadać bomby. Że tamci będą latać i rzucać... Niech państwo nie chodzą! Niech państwo — — —

Pani roześmiała się z obaw marcysyjnych, ale na wszelki wypadek poleciła nie powtarzać „plotek“ panu. Trafiła ją i tak dostatecznie myśl, co będzie, gdy się mąż dowie, ile to wydać trzeba, żeby wystąpić jako-tako przy święcie. Ona, dwie dziewczynki, Józio, a tu lato zrobiło się tak nagle!...

Józio — senior jakby coś przeczuwał.

— Wiesz, Manieczko, możeby dzieci nie szły?

Po długich owijaniach w bawełnę okazało się, że i papcio coś tam słyszał na mieście o jakichś buntach czy buntach, więc w razie popłochu, panie — —

Ale, oczywiście, nie wierzy tym „gadaniom“...

— Jeżeli tylko pogoda będzie, to dzieci stanowczo — — —

— Będzie, tatusiu, będzie pogoda! — zatrzępotały dzieci uradowane.

— Napewno będzie śliczna pogoda... — westchnęła smętnie mamusia...

— Ty, Manieczko, ma się rozumieć, nie pójdziesz, po co?

— Nie, nie pójde. Wynajmę sobie jakie skromne okno...

— Tak, tak, skromne! We wszystkich pismach nawołują do oszczędności. I słusznie! Oszczędność, oszczędność przedewszystkiem! Żadnych zbytków, moja droga!

— Mój kochany, co się sprawi na pochód, to już zostanie na — — —

— Tak, ale się drożej zapłaci.

— Zapewne, Józiczku... Ale, z drugiej strony, pieniąż zostanie w kraju, nie wyjdzie za granicę...

— Prawda i to — zgodził się mąż i poszedł kupić za 10 rubli krajowy wiedeński melonik.

— Powiadam ci, żonusi, ścisk formalny: doprosić się nie można! Cylindrów zabrakło zupełnie.

— Ty się dziwisz? A zapytaj, co się dzieje z naszymi — — —

Pan Józef wolał się nie pytać... Nie miał zresztą czasu, bo pani Józefowa przypomniawszy sobie właśnie w tej chwili, że już pojutrze pochód, a oni dotychczas nie mają biletów do teatru!

Pędzi więc pan Józef... W teatrach biletów niema! Do Komitetu! Przed Komitetem olbrzymi ogonek, ale biletów także niema...

— Zupełnie, powiadam ci, jak z chlebem...

— No to od przekupnia: jak bułki...

— Ano chyba...

Po staraniach, dopytywaniach, protekcjach bilety się znalazły. Na godzinę przed rozpoczęciem. Dwa po osiemdziesiąt kopiejek za osiem rubli.

— Bój się Boga?!...

— Trudno: mąka dwadzieścia razy zdrożała. Ale spiesz się: zaraz zaczyna.

— A na co idziemy?

— Wiesz, że nie wiem dokładnie. Zdaje się, że na jakiegoś księdza. Wszystko jedno, dziś wszędzie to samo. Program z Komitetu.

...  
Już dobrze po północy — nie śpią jeszcze u pp. Powszednickich...

Dziewczynki szepcą sobie cichutko do uszek, jak to panu Antoniemu ślicznie

w rabatach milicyanckich... Mały Józio wymachuje przez sen łapiną i mruczy:

— Bacność! Łównaj się!...

Mamusia jest upojona... Kostium leży cudownie, pogoda była śliczna, widziała wszystko znakomicie! Jutro pójdą z mężem do kinematografu, objaśni mu wszystko, wytłómaczy... Pamięta doskonale! Cudnie było, ach cudnie!...

— Sto dwadzieście cztery lata czekaliśmy, żonusi, na ten dzień uroczysty!...

Pan Józef obejmuje żonę i całuje ją, głęboko wzruszony, na dobranoc.

Małżonka za chwilę wychyla się jeszcze z nad kołderki:

— Józiczku, co to znaczy właściwie Konstytucja 3-go maja?

B. Gorczyński.

E. L. Voynich.

Przekład z angielskiego przez H. J. P.

## B A K.

19

POWIEŚĆ.

Po niejakiem czasie powędrowałem do kopalni srebra i tam starałem się o robotę; ale na próżno. Dyrektrowie śmieli mi się w oczy, a robotnicy poprostu pastwili się nademną.

— Dlaczego?

— O! to już taka natura ludzka; widzieli, że mam tylko jedną rękę do obrony. I była to sama hałastra najpodlejszego rodzaju, przeważnie murzyni: Zambosi. A ich psy!... Wreszcie miałem tego dosyć, i zacząłem włóczyć się po gościńcach na trać; ot tak, gdzie oczy poniosą.

— Jakże? Z chorą nogą?

— Spojrzał na nią żalostnie.

— Głodny byłem — odpowiedział stłumionym głosem.

Odwróciła głowę, zaśnaniając twarz ręką. Po chwili milczenia on znów zaczął, coraz ciszej i ciszej:

— Włóczyłem się tedy, włóczyłem, aż czasem zdawało mi się, że mnie ta włóczęga do obłędu doprowadzi, i zawędrowałem tak do Ekwatoru; i tam już było ze mną najgorzej. Czasem trafiała się jakaś przygodna robota; to posyłka, to uprzątnięcie chlewu, to... albo ja wiem co. Wreszcie, pewnego dnia — — —

Urwał i szczupłą, zaciśniętą rękę ciężko na stole położył. Gemina spojrzała na niego z niepokojem i zobaczyła, że nabrzmiałe na skroniach żyły pulsują mu gwałtownie. Pochyliwszy się, dotknęła łagodnie jego ręki:

— Już dosyć; to pana zbyt wiele kosztuje.

Wstrząsnął głową i ciągnął dalej pewniejszym głosem:

— Wreszcie pewnego dnia spotkałem wędrowny cyrk. Pamiętasz pani, ten, któryśmy razem widzieli? Tylko tamten był gorszego gatunku.

Zambosi, to nie łagodni Florentczycy; to tylko lubią, co brutalne i cuchnie. Rozbili namioty na noc przy gościńcu, ja zaś przywlokłem się do nich, by coś wyżebrać. Ale byłem tak głodny i wycieńczony, że zemdlałem przed namiotem, jak pensjonarka, gdy się zanadto ściśnie gorsetem. A oni ocucili mnie, nakarmili, a nazajutrz zaproponowali mi — —

Urwał znowu.

— Potrzebny im był garbus lub jaki inny pokraka, by czarni mieli się z czego śmiać... a chłopcy w co ciskać skórkami od pomarańcz. Widziałas pani tego kłowna wtedy?... ja byłem takim... przez dwa lata. Zapewne pani żywisz humanitarne uczucia względem murzynów i chińczyków... No; nie byłaś nigdy na ich łasce!

Nauczyłem się tedy różnych bladeńskich sztuk. Wprawdzie nie byłem dostatecznie wykoszlawiony, ale zaradzono temu sztucznym garbem, i zastosowano odpowiednią tresurę do tej ręki i nogi... Zresztą Zambosi nie są zbyt wymagający; byle tylko mieli jaką żywą istotę, nad którą mogą się znęcać; więcej im do szczęścia nie potrzeba.

To było tylko złe, że chorowałem często; wtedy nie mogłem występować. Czasem gdy dyrektor cyrku był w złym humorze, zmuszał mnie, bym się pokazywał w ataku, i wtedy publiczność najlepiej się bawiła. Raz, pamiętam, zemdlałem z bólu podczas przedstawienia. Gdy wróciłem do myśłów, publiczność tłoczyła się dokoła mnie, wyjąc z uciechy, skubiąc mnie i obrzucając — —

— Przestań pan, na Boga! Nie mogę dłużej słuchać!

Gemma zerwała się z miejsca, zatykając uszy rękoma. Lzy błyszczały w jej oczach.

Bak umilkł i popatrzył na nią.

— Przeklęty idyota ze mnie! — szepnęła sam do siebie.

Podeszła do okna i stała czas jakiś, patrząc w ogród. Gdy się odwróciła, Bak oparty był znów o stolik, ręką zasłaniając oczy. Widocznie zapomniał o jej obecności, Gemma usiadła przy nim w milczeniu. Po niejakiem czasie rzekła zwolna:

— Chciałabym zapytać pana o coś.

— O co? — odrzekł, nie poruszając się.

— Czemu pan nie odebrał sobie życia?

Popatrzył na nią zdumiony.

— Nie spodziewałem się takiego pytania od pani — rzekł. — A moja praca?... Któżby ją wykonał za mnie?

— Pańska praca? Ach!... rozumiem! Nazwałeś się pan przed chwilą tchórzem; ale jeżeli przetrwałeś to wszystko, wciąż dążąc do swego celu, to jesteś najodważniejszym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałam.

Zasłonił sobie znów oczy i trzymał jej rękę w namiętym uścisku. Jakieś bezkresne milczenie zapadło dokoła nich.

Nagle świeży, sopranowy głos zaczął śpiewać w ogrodzie francuską Diosenkę:

„Eh, Pierrôt! Danse, Pierrôt!  
Danse un peu, mon pauvre Jeannot!  
Vive la danse et l'allégresse!  
Jouissons de notre bell' jeunesse!  
Si moi je pleure, ou moi je soupire,  
Si moi je fais la triste figure.  
Monsieur, ce n'est que pour rire!  
Ha! ha! ha! ha!  
Monsieur, ce n'est que pour rire!

Na dźwięk pierwszych słów Bak cofnął się ze stłumionym jękiem i chciał wyrwać rękę z dłoni Gemmy; ale ona przytrzymała ją i ścisnęła mocno, jakgdyby to była ręka osoby, której robią chirurgiczną operację. Gdy piosenka umilkła i z ogrodu doleciał chór śmiechów i okłasków, Bak, podniósł oczy i spojrzał na Gemmę z wyrazem dręczonego zwierzęcia.

— Tak, to Zita — rzekł zwolna — i jej wielbiciele, oficerowie. Chciała koniecznie dostać się do mnie, wtedy, zanim Riccardo przyjechał. Byłbym zwaryował, gdyby mnie dotknęła.

— Ale ona nie wie — rzekła Gemma łagodnie. — Nie może odgadnąć, że zadaje panu ból.

— To istna kreolka — odpowiedział, wzdrygnawszy się. — Pamiętasz, pani, jej twarz tego wieczora, kiedyśmy to podnieśli to biedne dziecko? Tak wyglądają mieszańcy, gdy się śmieją.

Nowy wybuch śmiechu doleciał z ogrodu. Gemma wstała i otworzyła okno. Zita, w haftowanym złotem szalu, kokieteryjnie zarzuconym

na głowę, stała na ogrodowej ścieżce, trzymając pęk fiołków, o który trzech, młodych oficerów kawalerii zdawało się ubiegać.

— Pani Reni! — rzekła Gemma. Twarz Zity spochmurniała nagle.

— Pani? — odparła, podnosząc wyzywająco oczy.

— Może zechcielibyście państwo rozmawiać ciszej? Signor Rivarez jest bardzo cierpiący.

Cyganka rzuciła fiołki.

— *Allez vous-en!* — rzekła do zdumionych oficerów. — *Vous m'embêtez, messieurs!*

I odeszła zwolna ścieżką. Gemma zamknęła okno.

— Poszły już — rzekła, zwracając się ku niemu.

— Dziękuję. Tak mi przykro, że zadaje pani tyle trudu.

— O! Trud żaden. — Zawahała się.

— Ale? — rzekł Bak. — Zdanie nieskończone, signora; zostało jakieś niedomówione „ale“ na dnie umysłu pani.

— Jeżeli pan zagładasz na dno umysłów ludzkich, to nie możesz się obrażać o to, co tam wyczytasz. Nie moja to sprawa, oczywiście, ale nie mogę zrozumieć — —

— Mojego wstępu do pani Reni? To tylko wtedy — —

— Nie; nie rozumiem, jak pan możesz z nią żyć, odczuwając ten wstręt. To mi się wydaje zniewagą dla niej, jako dla kobiety i jako...

— Dla kobiety? — wybuchnął twardym śmiechem. — *To* pani nazywa kobietą? *Madame, ce n'est que pour rire!*

— To nieszlachetnie! — rzekła Gemma — nie masz pan prawa wyrażać się tak o niej do nikogo, a zwłaszcza do drugiej kobiety.

Odwrócił się i leżał z szeroko otwartymi oczyma, patrząc na zachodzące słońce. Gemma spuściła roletę i zamknęła żaluzje, żeby mu oszczędzić tego widoku; poczem usiadła przy drugim oknie i wzięła się znów do roboty.

— Czy zapalić lampę? — zapytała po niejakiem czasie.

Wstrząsnął odmownie głową.

Gdy ściemniło się zupełnie, Gemma zwinęła robotę i włożyła ją do koszyczka. Czas jakiś siedziała bezczynnie, patrząc w milczeniu na leżącego nieruchomo Baka. Blade światło wieczora padając na jego twarz łagodziło jej twarde, arogancki wyraz, pogłębiając natomiast tragiczne zarysy koła ust. I dziwnym skądś wyobrażeń myśl jej podążała ku kamiennemu krzyżowi, który ojciec jej postawił pamięci Artura z napisem:

„Wszystkie twoje fale przepłynęły po mnie“.

Minęła godzina w nieprzerwanym milczeniu. Wreszcie Gemma wstała i wyszła pocichu z pokoju.

Wkrótce wróciła z lampą, ocinając ją ręką, w przekonaniu, że Bak śpi. Ale on zwrócił się ku niej zaraz.

— Zrobiłam panu filiżankę kawy — rzekła, stawiając lampę.

— Dziękuję. Przyjdź tu pani na chwilę, proszę.

Ujął obie jej ręce.

— Rozmyślałem cały ten czas — rzekł z cicha. — Tak, masz pani słuszną rację; wstąpiłem urządziłem sobie życie. Ale pamiętaj pani, że nie codzień spotyka się kobietę, którą można kochać, a ja... ja... byłem bardzo nieszczęśliwy. I boję się — —

— Boisz się pan?

— Tak; ciemności. Czasem wprost *nie mogę* być sam w nocy. Muszę mieć przy sobie jakąś żyjącą istotę... Do szaleństwa doprowadza mnie ta ciemność... Och! nie, nie ta zewnętrzna... to głupstwo, lecz ta *wewnętrzna*, w której niema ani płaczu, ani zgrzytania zębów; tylko milczenie... milczenie...

Oczy mu się rozszerzyły. Gemma milczała, zaledwie oddychając, a on znów mówić zaczął:

— To wszystko niezrozumiałe dla pani, na szczęście... Ale nie sądź mnie zbyt surowo, jeżeli możesz; nie jestem takim brutalnym bydlęciem, jakim ci się może wydaje.

— Nie próbowałabym nawet sądzić pana — odparła. — Nie wycierpiałam tyle. Ale na swój sposób byłam także bardzo nieszczęśliwą i myślę, jestem pewną, że jeżeli pod wpływem strachu popełnisz pan jakiś czyn nieszlachetny, okrutny, lub niesprawiedliwy, będziesz tego później żałował. W każdym razie, czuję, że gdybym była na miejscu pana, to byłoby jeszcze gorzej ze mną, bo zbrakłoby mi hartu i wytrzymałości i skończyłabym samobójstwem.

On wciąż trzymał jej ręce w swoich dłoniach.

— Powiedz mi pani — rzekł bardzo miękko — czy kiedy w życiu popełniłaś jakiś naprawdę okrutny czyn?

Nie odpowiedziała; ale zwiesiła nisko głowę i dwie wielkie lzy padły na jego rękę.

— Powiedz mi! — powtórzył namiętnie, ścisnął silniej jej ręce. — Powiedz mi! Ja opowiedziałem ci wszystkie moje niedole.

— Tak... raz... dawno już temu. I popełniłam to okrucieństwo względem kogoś, kogo najbardziej na świecie kochałam.

Ręce trzymające jej dłonie drżały gwałtownie, lecz nie rozluźniły uścisku.

— To był towarzysz lat dziecinnych — ciągnęła — i towarzysz w sprawie. Policja wymyśliła na niego ohydny potwarz, a ja uwierzyłam i uderzyłam go w twarz, jako zdradę; on zaś poszedł i utopił się. Może to jest jeszcze gorsze wspomnienie, niż wszystkie te, które pana dręczą. Dałabym sobie uciąć prawą rękę, by odrobić to, co uczyniłam.

Jakieś błyskawiczne, niebez-

pieczne światło — jakiego nigdy przedtem nie widziała — mignęło w oczach Bąka. Szybko, ukradkowo pochylił głowę i pocałował rękę Gemmy.

Conęła się, wstrząśnięta do głębi.

— Och! — krzyknęła żałośnie. — Co pan czynisz! Proszę, nie czyni już tego nigdy. To sprawia ból!

— Myślisz pani, że nie sprawiłaś bólu człowiekowi, któregoś zabiła?

— Którego zabiłam!... Ach? słyszę kroki Cezara... Ja... ja muszę odejść.

## ROZDZIAŁ IX.

W kilka dni potem Bąk, bladej jeszcze i bardziej, niż zwykle, utykający na nogę, wszedł do czytelnicy publicznej biblioteki i zażądał kazań kardynała Montanelli'ego, Riccardo, który siedział czytając w pobliżu, podniósł głowę. Lubił bardzo Bąka, nie mógł jednak znieść w nim jednego rysu; tej szczególnej zawziętości w dokuczaniu drugim.

— Czy gotujesz nową napaść na nieszczęsnego kardynała? — zapytał gniewnie.

— Mój drogi; czemu za...a...wsze przypisujesz z...z...te za...a...amiary ludziom? To bardzo nie po chrześcijańsku. A ja właśnie piszę studyum o współczesnej teologii dla nowego pisma.

— Dla jakiego pisma? — zapytał Riccardo, ściągając brwi.

Wiadomo było powszechnie, że miało być ogłoszone nowe prawo prasowe i że opozycja szykowała się zadziwić miasto radykalnym dziennikiem; ale formalnie trzymano to jeszcze w tajemnicy.

— Och! dla „*Kościelnego Kalendarza*“, oczywiście.

— Ciszej, Rivarez, przeszkadza mi drugim w czytaniu.

— Bardzo pięknie; trzymaj się twojej chirurgii, bo to twoja specjalność, a mnie z...z...zostaw te...e...ologię — bo to do mnie należy. Ja się nie w...w...trącam do twego leczenia połamanych kości, choć wiem o tem o w...wiele więcej, niż ty.

Usiadł i zagłębił się w czytaniu kazań z wielkiem skupieniem. Po jakimś czasie jeden z bibliotekarzy zbliżył się do niego.

— Signor Rivarez! Pan byłeś w wyprawie Dupreza, eksplorującej plemiona Amazonki. Może będziesz tak dobry udzielić nam pewnych objaśnień. Jedna pani zażądała sprawozdań z tej wyprawy; a książka jest właśnie u intronigatora.

— A co ta pani mianowicie chciała wiedzieć?

— Tylko, w którym roku wyruszyła ekspedycja i kiedy przechodziła przez Ekwator.

— Wyruszyła z Paryża jesienią 1737 r. a znalazła się w Quito w

kwietniu 1738 r. Byliśmy trzy lata w Brazylii, poczem udaliśmy się do Rio i wróciliśmy do Paryża latem 1741 r. Czy ta pani chce wiedzieć także daty poszczególnych odkryć?

— Nie; te wystarczą. Już je napisałem. Beppo; zanieś ten papier Signorze Bolli. Tysiącne dzięki, Signor Rivarez. Przepraszam, że przeszkodziłem panu.

Bąk ściągnął brwi i zamyślił się. Na co jej były potrzebne te daty? Kiedy przechodzili przez Ekwator...

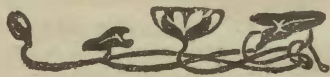
Gemma wróciła do domu z notatką w rękę. W kwietniu 1738 — a Artur umarł w maju 1733 r. Pięć lat!

Zaczęła chodzić po pokoju. Żle spała ostatnich kilka nocy i ciemne obwódki podkrywały jej oczy.

Chodziła długo; wreszcie zatrzymała się, podnosząc obie ręce do głowy. Nie! to było poprostu szaleństwo... niemożliwość... A jednak. Jak dokładnie przeszukano tę zatokę — i napróżno! Pięć lat; a on nie miał jeszcze dwudziestu jeden lat, gdy majtek — — — Więc musiał mieć dziewiętnaście, gdy uciekł z domu. Wszak powiedział: „Półtora roku“. I skąd on wziął te błękitne oczy i te nerwowe ruchy rąk? I czemu z taką zawziętością prześladował Montanelli'ego. Pięć lat — pięć lat — —!

Gdyby tylko mogła była wiedzieć napewno, że utonął; gdyby była widziała ciało... to ta dawna rana przestałaby z czasem krwawić, dawne wspomnienia złagodniałyby stopniowo. Może za jakie dwadzieścia lat mogłaby myśleć o nich spokojnie.

*Dalszy ciąg nastąpi.*



## Z literatury.

### Ludzie i psychologia Renesansu.

Teodor Jeske-Choiński zainteresował się teraz psychologią i ludźmi renesansu włoskiego. Wydał dwie książki, świadczące o erudycji autora, w których wydstąpił na jaw rysy znamienne, charakterystyczne epoki. W syntetycznej rozprawce „psychologia renesansu włoskiego“ daje założenia poglądu na świat, który wtedy panował, czerpiąc swe soki z łacińskiej starej kultury. Humanizm włoski w umiłowaniu łaciny widział główne źródło swoich rozkoszy estetycznych. Do kultu łaciny stałe przytem przyłączano cześć dla greczyzny. Jeske-Choiński duszę Odrodzenia włoskiego widzi w chwiejącem się poszukiwaniu oparcia dla wiary. Medicejska akademia pragnęła pogodzić chrześcijaństwo z kultem Platona i światem Romy pogańskiej. I dlatego twierdzi p. T. Jeske-Choiński, że „epoką jednolitą, zwartą nie jest Renesans“ (Str. 60). „Robi on wrażenie gromady ptactwa rozlatującego się na wszystkie strony. Pogaństwo i

chrześcijaństwo, duch i zmysły, kultura i barbarzyństwo, cnota i zbrodnia, wolność i tyrania, pyszny indywidualizm i podła służalczość — wszystko to zmieszało się w jakąś chaotyczną całość, którą nie łatwo ogarnąć“. A przytem „Włosi XV i XVI wieku byli zabobonni, jak ciemny lud, wierzyli we wszystkie możliwe zabobony, gusa, demony, czarownice, a przedewszystkiem w horoskopy astrologiczne“ (Str. 61).

Te dusze, miotane tak sprzecznymi wyobrażeniami o życiu, z całą ich tężyzną, rozlewnością, podłością, szaleństwem i umiejętnością do wytrwałej pracy pokazuje Jeske-Choiński w drugiej książce p. t. „Ludzie Renesansu“. Kreśli on sylwety Wawrzyńca de Medici, H. Savonaroli, Jana Pico della Mirandoli, Lukrecyi Borgii, Izabelli d'Este, Juliusza II, Michała Anioła, Wiktorya Pescara, Mikołaja Macchiavelli, Piotra Aretina i wszystkich tych postaci, które swoją indywidualnością wyróżniają się na tle epoki. Sylwety te, rysowane w sposób interesujący bo Jeske-Choiński daje ich charakterystykę w akcji wobec wypadków historycznych przez co wmurowują się w pamięć.

Wśród tej genialnej zgrai prymitywnych namiętności, mocnych, jak śmierć — odrzyna się skromna, promienna postać Margrabiny Wiktoryi Colonna d'Avalos Pescara, poetki, rzeźbiarki słowa. Cicha jej zaduma napełnia sympatją i szacunkiem po przez wieki czytelnika. Książki Jeske-Choińskiego przeczytać warto.

## Współczesna literatura polska.

Wilhelm Feldman wydał, jako odbitekę z miesięcznika niemieckiego „Der Panther“, szkic swój syntetyczny p. t. „die Polnische Literatur der Gegenwart“. Szkic ten należy uważać za najbardziej dokładny ogólny rys naszej literatury współczesnej w języku niemieckim. Pisany jest z widoczną tendencją wykazania, że całe nasze piśmiennictwo jest „russenkrank“, ale tendencja ta wcale nie obniża informacyjnej wartości szkicu. Pominął p. Feldman wielu autorów: trudno jednak było w małym szkicu zmieścić wszystkich. W każdym razie broszura p. Feldmana służyć lepiej będzie niemieckiemu czytelnikowi, jako przewodnik po dziełach współczesnego naszego piśmiennictwa, niż inne tego rodzaju prace. Warto, by dla niemieckiej publiczności napisano krótkie broszury z zakresu naszej nauki, sztuki, publicystyki. W ten sposób nabrać mógłby źle informowany niemiecki czytelnik pojęcia o naszej żywotności i umiejętności pracy w każdej dziedzinie życia.

## Hygiena dziecka.

Dr. med. Matylda Biehler wydała bardzo pożyteczny podręcznik p. t. „Hygiena dziecka“. Dla młodych matek a nawet i dla wszystkich tych ludzi, których interesuje zdrowie dziecka, książka dr. Biehlerowej jest arcywyczerpującą lekturą. Ilustracje wskazują pogładowo, jak należy dziecko maleńkie trzymać, przewijać, bawić.

